

RETRO

Napisał: Michał Fotyma

Ilustrował: Ryszard Grach

Maurycy Alabaster rozglądał się z zaciekawieniem. Rzadko bywał w „Alhambrze”, ten lokal był nieco za kosztowny na jego możliwości. Ostatni raz był tu chyba rok temu. Niewiele się zmieniło – taka sama kurtyna, podobnie rozstawione stoliki, podobne przyćmione, nastrojowe światła. Ale były też różnice: tym razem wszystkie miejsca były zajęte aż do ostatniego, stolików przybyło, a ponadto – czuło się nastrój podniecenia i niepokoju. Szykował się przecież pokaz, jakiego jeszcze „Alhambra” nie widziała.

Publiczność była, jak zawsze, wyborowa. Mężczyźni w ciemnych garniturach, kobiety – w oślniewających toaletach. Zerknął na swą żonę Helenę: ubrana była starannie, ale bez przesady, ze smakiem. Długa suknia z matowzłotego pianolitu, z głębokim dekoltem, naszyjnik – cieniutki złoty łańcuszek z gałązką areozy, zatopioną w przezroczystej masie, peruka jasnoblond. Tak, była piękna, a doskonale dobrany strój podkreślał to jeszcze bardziej.

To, że znaleźli się w „Alhambrze”, nie było przypadkiem. Helena usłyszała od kogoś, że szykuje się tam jakiś nadzwyczajny pokaz i że każdy, kto się liczy, musi być na nim obecny. To wystarczyło – oczywiście, oni oboje też musieli być! Jednak pensja nawet bardzo dobrego programisty, jakim był Maurycy, nie wystarczała na to. Maurycy musiał więc poszukać dodatkowego zarobku. I znalazł, tam

gdzie zwykle, gdy było trzeba pieniędzy na te czy inne, istotne lub urojone potrzeby.

★

Popatrzył jeszcze raz w lustro: tak, w porządku. Nikt go nie pozna, charakteryzacja doskonała. Można iść.

Na korytarzu był już ktoś. Obaj jednocześnie podnieśli kołnierze i opuścili kapelusze. Maurycy usunął się uprzejmie, wskazując drzwi. Tamten kiwnął głową i wyszedł. Maurycy zrobił to samo, odczekawszy chwilę i opuściwszy kołnierz prochowca.

Pociąg, jak zwykle, niósł lekko, bez wstrząsów, ze stłumionym poszumem. W kilkanaście minut wydostali się na dalekie peryferie, kilkadziesiąt kilometrów od śródmieścia. Stacja nie miała nazwy – nikt obcy tu nie wsiadał ani nie wysiadał. Maurycy przed wyjściem z wagonu podniósł znów kołnierz i opuścił rondo kapelusza. Inni, wysiadający z innych wagonów, czynili to samo. Droga nie była daleka, ledwie paręset metrów.

Niebawem Maurycy siedział na swym zwykłym miejscu przy pulpicie sterowania. Obok, przy drugim pulpicie, siedział Terry Lee. Zawsze pracowali razem, mogli więc pozwolić sobie na zawarcie znajomości.

Za oknem kabiny sunął wolno transporter, niosący wszystko to, co codziennie wyrzuca

miasto: resztki żywności, plastikowe opakowania, butelki, stare żelastwo, opony samochodowe, strzępy polipapieru, gnijące owoce, połamane meble – słowem, niekończące się zwały najrozmaitszych śmieci. Za transporterem znajdowały się urządzenia sortujące: osobno metale, osobno plastyki, osobno żywność – wszystko do dalszej przeróbki, którą zajmowali się inni. Maurycy i Terry mieli czuwać nad sortowaniem, urządzenie bowiem było półautomatyczne i dość często potrzebowało pomocy lub decyzji człowieka.

– Wiesz, Mo – rzekł Terry, obserwując przenośnik – znowu dziś miałem przygodę. Jak wysiadałem, stał przy mnie jakiś facet. Kiedy podniosłem kołnierz, zorientował się widać, kim jestem, bo odskoczył ode mnie, jakby zobaczył diabła. Dlaczego właściwie tak nas nie znoszą? Przecież to, co robimy, jest tak samo potrzebne jak każda inna praca! A tymczasem musimy się z tym kryć, przebierać... Nazywają nas śmieciarzami, brudasami...

– Czy ja wiem? Jakiś głupi przesąd...

– Ale żeby nie my, to udusiliby się w swoich śmieciach! I to bardzo prędko.

– Na pewno. A do tego przecież nasza praca daje miastu nowe, rozmaite surowce.

– O, jeszcze ile! Widziałem raz magazyn. Pelen po brzegi!

– Czy twoja żona wie, czym się tutaj zajmujesz?

– A skąd! Wyrzuciłaby mnie z domu. A twoja?

– Też nie wie. Bardzo chciała wiedzieć, pokłóciliśmy się okropnie. Pogardza śmieciarzami, jak wszyscy.

– Ale pieniądze ze śmieci bierze? Nie cuchną jej?

– To już dawno temu ktoś powiedział, jakiś filozof albo mędrzec, nie bardzo pamiętam kto. Nie, chyba to był jakiś władca...

Brzęczyk i czerwone światło przerwały rozmowę.

– Szóstka stoi, udławiła się wrakiem.

– Patrz na resztę, Terry, potnę wrak. To jakiś wielki grzmot.

– Plazma da mu radę. Włączam ci zasilanie.

Maurycy przeszedł do bocznego pulpitu, włączył zdalnie sterowany palnik plazmowy i szybko porozcinał wrak samochodu na kawałki. Transporter ruszył ponownie, zabierając pocięte części.

– Po kłopotcie, Terry!

– Prędko poszło. Właściwie to jesteś programistą czy śmieciarzem? A może i jednym i drugim?

– Dostawcą pieniędzy, tym naprawdę jestem. Byle najwięcej, a i tak zawsze za mało... A skąd? To właściwie nieważne...

Bywało niekiedy, że w masie śmieci udawało się znaleźć coś cennego. Maurycemu też się raz udało. Zauważył na transporterze coś dziwnego, niby małą maczugę. Uruchoił wysięgnik i zabrał ów zagadkowy przedmiot, a po dezynfekcji wziął go do kabiny. Obaj z Terryem zastanawiali się długo, co też to jest, ale do niczego nie doszli. Jedno było pewne – znalezisko było cenne, bo drewniane. Udali się w końcu do muzeum. Kustosz obejrzał ów przedmiot i wpadł w zachwyt: muzeum nie posiadało takiego eksponatu. Obaj znalazcy sprzedali swą zdobycz i od tej pory, odczyszczona i odnowiona, znajdowała się na eksponowanym miejscu pod nazwą „Tłuczek do ubijania kartofli”. Jak wynikało z opisu, używano tego narzędzia dawniej do przyrządzania posiłków.

Za ów tłuczek Maurycy kupił Helenie nazyjnik z areozą, a Terry ze swą żoną hulali przez kilka nocy w najdroższych lokalach miasta.

★

Rozglądając się po sali, Maurycy przypomniał sobie, że gdy zarabiał na bilety pracując rano jako programista, a wieczorem – konspiracyjnie – jako śmieciarz, po mieście chodziły od kilku tygodni coraz ciekawsze wiadomości o „Alhambrze”: mówiono, że był już próbny pokaz i że przypadkowi widzowie zemdleli z wrażenia; że dla celów pokazu instaluje się specjalne urządzenia; że sprowadzono z zagranicy wielką ilość jakichś niezwykle kosztow-



nych surowców; że cały pokaz przypomina obyczaje dawnych, egzotycznych plemion i że polega na publicznym przeprowadzaniu jakiejś tajemniczej reakcji chemicznej. Podobno też dyrekcja „Alhambry” miała poważne kłopoty z uzyskaniem zezwolenia, ponieważ widowisko nie należało do bezpiecznych. Jednakże przedstawiciel policji po obejrzeniu próbnego pokazu był tak zachwycony, iż od razu zgodził się na wszystko, z zastrzeżeniem, że podczas widowiska będzie obecny lekarz i kilka pielęgniarek dla udzielenia pomocy, gdyby to było potrzebne.

Maurycy pjrzał w kąt sali: owszem, lekarz był. Oddano do jego dyspozycji całe przyległe pomieszczenie, gdzie urządził sobie dobrze wyposażone stanowisko pierwszej pomocy. Swoją drogą świadczyło to, że istotnie liczono się z możliwością jakiegoś nieszczęśliwego wypadku.

– Więc jednak to prawda – pomyślał Maurycy. – Co oni właściwie chcą nam zaprezentować? Jakaś reakcja chemiczna... Jaka? Wybuch starożytnego prochu czy może nitrogliceryny?

Dalsze rozmyślenia przerwał mu Terry Lee, który właśnie zjawił się wraz ze swą żoną przy ich stoliku. Jak zwykle, był niepoprawny – włożył lekki, jasny garnitur! Dziwne, że go w ogóle wpuścili. Chociaż za taką cenę, jaką należało zapłacić za bilet, można było wybaczyć niejedno dziwactwo. Za to żona Terry’ego, Ellie, mogła być uznana za wzór elegancji: suknia z czarnego jedwabiu, gołe plecy, na które spadała kaskada jasnych włosów, czarne pantofelki, a jako naszyjnik – konopny powróż naparowany złotem, z zębem niedźwiedzia, strasznej bestii z dawnych lat.

Podobnie jak Helena, Ellie umiała zachować umiar w stroju i dlatego właśnie wyróżnia-

ły się obie wśród innych kobiet ubranych barwnie i bogato, ale bez smaku.

Ledwie się przywitali, Ellie zaczęła:

– Wyobraźcie sobie, mówiłam z Alą! Udało jej się zajrzeć tam – wskazała kurtynę – podczas próby! Mówiła, że to jest przerażające i zachwycające: czerwone albo złote, wiję się i trzeszczy!

Maurycy był zupełnie zdezorientowany – wiję się? czerwone? trzeszczy? Przyznał, że teraz to już zupełnie nic nie rozumie.

Ellie zdążyła jeszcze zamówić kieliszek koktajlu, gdy rozległ się głęboki, wibrujący dźwięk gongu, a po nim – niesamowite, drgające zawrodożenie, urwane nagle na najwyższym tonie. Zapadła martwa cisza, światła z wolna przygasły. Kurtyna rozsunała się powoli. Za nią widniała druga, półprzezroczysta, oświetlona od wewnątrz migocącym, czerwonożółtym światłem. Po chwili drgnęła i uniosła się w górę. Przejmujący krzyk przerwał ciszę. Jedna z kobiet, siedząca blisko kurtyny, nie wytrzymała nerwowo. Zerwała się i, krzycząc ciągle, pobiegła ku wyjściu. Nikt nie zwrócił na biegnącą najmniejszej uwagi. Wszyscy patrzyli na scenę, tylko na scenę.

*

Stan Gozdava, będąc jeszcze małym chłopcem, często bywał u swej prababci. Było tam wiele obrazów starodawnego pochodzenia, malowanych na płótnie. Jeden z nich szczególnie przyciągał uwagę Stana: grupa mężczyzn skaczących wokół ogniska. Chłopiec długo nie mógł zrozumieć sensu tego starego malowidła mimo objaśnień babki, ale obraz, wielokrotnie oglądany, wrył się mocno w jego pamięć.

I oto teraz, po latach, odtworzył go na scenie „Alhambry”. W swoim studiu reżyserskim widział scenę przy pomocy holowizora. Ogień płonął, płomienie buchały wysoko, dym ginał pod kopułą, wsysany przez wyciąg, płonące polana trzeszczały głośno. Na sali natomiast panowała absolutna cisza. Umilkł krzyk uciekającej kobiety, nie trzasnęło krzesło, nie stuknęła łyżeczka o spodek, nikt nawet nie westchnął. Czyżby?! Stan spojrzął na wykres emocjografu: falująca krzywa, kreślona przez

pisak, w chwili podniesienia kurtyny po prostu znikła, wyrzucona poza zakres pomiaru. Emocjograf ustawiono na zakres 100 Cha, ponieważ art-komputer, oceniający próbny pokaz, oszacował prawdopodobną reakcję widowni na 60-80 chaplinów, co wydawało się oceną dość optymistyczną. Tymczasem rzeczywistość przekroczyła obliczenia. Za chwilę wbiegną tancerze, ubrani jak na starym malowidle, zaczniesz się skoczny taniec, ale sukces jest zupełny już teraz. Ponad sto chaplinów...

Oplaciło się wielomiesięczne zbieranie materiałów, wertowanie w archiwach i praca przy opracowaniu widowiska!

Zadudnił parkiet, wbiegli tancerze, ostrza ciupag błysnęły w świetle płomieni, rozpoczęła się zbrojnicki.

*

Maurycy, nastawiony początkowo nieco sceptycznie, zmienił całkowicie zdanie od pierwszej chwili widowiska. Był zachwycony, jak wszyscy inni, bo też było czym się zachwycić. Nikt nigdy nie widział ani prawdziwego, płonącego ogniska, które dymi, trzeszczy, sypie iskrami, ani tańczących zbrojników, skaczących przez płomienie, zbrojnych w ciupagi – starożytną, barbarzyńską broń o dziwacznym kształcie.

Helena milczała, gdy opuścili „Alhambrę” po skończonym pokazie. Widocznie była też pod wrażeniem oglądanego tańca, jak wszyscy. Rozważała coś, a na koniec zwróciła się do Maurycego:

– Jak myślisz, poszlibyśmy na to jeszcze raz?

Maurycy ujrzał na nowo w wyobraźni płomienie ogniska i jego blask na ostrzach ciupag, a potem... długi szereg wieczorów, a często także i nocy, spędzonych za pulpitem w sortowni, wolno sunący transporter ze zwałami śmieci, tajny lokal – przebieralnię, gdzie wszyscy zmieniali wygląd, aby ich – śmieciarzy – nikt nie poznał i aby nie znali się nawzajem, wyobraził sobie swoje nocne powroty do domu...

– Oczywiście, kochanie, pójdziemy – powiedział.